

O POLEMIZOWANIU I INNYCH SPRAWACH
ODPOWIEŹ MIESZKOWI TAŁASIEWICZOWI

Cieszy mnie polemiczna recenzja Mieszka Tałasiewicza z mojej książki. Autor poświęca jej dużo uwagi, rozpatruje obszernie moje argumenty, mówi otwarcie, co myśli; sprawia wrażenie, że zależy mu na tym, co rozważa; daje stanowcze oceny, pisze ze swadą i dobrze po polsku (wyjawszy nieliczne błędy językowe, na przykład: „argumenty [...] skuteczne przeciwko wąskiemu stosunkowo zagadnieniu”). Taka recenzja to rzadkość w dzisiejszych czasach – w czasach upadku i filozofii i sztuki pisarskiej w Polsce.

Sprawia mi też jednak przykrość ta recenzja. Jest bowiem gorsza niż mogłaby być. Jej wady to sprawa pewnych narzędzi oraz pewnej postawy. Narzędzi tych często się używa, a ta postawa jest omal powszechna. Warto więc o tym pomówić.

Tałasiewicz rozpoczyna od pouczeń. Pouczenia są cenne, gdy pouczający ma rację. Nie może mieć jednak racji, kto twierdzi, że między empiryzmem a antyempiryzmem, czy między ateizmem a teizmem nie zachodzi sprzeczność. Kto tak twierdzi, ten albo nie przyjął do wiadomości treści pojęcia empiryzmu itd. albo nie przyjął do wiadomości treści pojęcia sprzeczności.

Pouczeniom towarzyszy pominięcie. Mój polemista pomija mianowicie lub – co na jedno wychodzi – uwzględnia tak, jakbyśmy rozmawiali o Nowej Zelandii, to coś, co nazywam lokalnym rozszerzeniem antyempiryzmu, nadnaturalizmu itd., czyli ideologię Kościoła katolickiego w Polsce naszych czasów. Tymczasem o to właśnie chodzi w mojej książce. Treści i środki filozoficzne są w niej służebne, wspierają główną myśl – że katolicyzm to irracjonalizm, a jego polityczna mutacja zagraża swobodom obywatelskim. Pominięcie to (którego nie łagodzą trafne uwagi Tałasiewicza, że np. nie wszyscy przedstawiciele Kościoła katolickiego są agresywni) czyni z jego polemiki wypowiedź marginesową, bo obchodzącą garstkę tych, co lubią

ćwiczenia i gry pojęciowe. Chodzi tymczasem o rzecz z a s a d n i c z ą: że potężna instytucja chce mnie prowadzić od poczęcia aż po śmierć taką drogą, na którą mogę wejść tylko wtedy, gdy się wyzbędę rozumu. Albo rozum, albo katolicyzm – *tertium non datur*. Choćbym się mylił, gdy uzasadniam tę myśl, ona sama pozostaje. Polemista zasadniczy musi więc ją obalić. Temu nie służą jednak harce na przedpolu, a co dopiero harce nieudane.

Pokażę krótko, że są nieudane.

Znaczenie. Jedna z moich tez brzmi: ideologia polskiego katolicyzmu wiąże się z nadużywaniem polszczyzny; wiąże się intymnie, bo bez deformacji języka kluczowych treści tej ideologii nie dałoby się zakomunikować. Gwoli sprawiedliwości, każda ideologia wiąże się z deformowaniem języka. Liberalizm od katolicyzmu pod tym względem różni tylko głębokość ran, które zadaje logice i estetyce mowy.

Tałasiewicz utrzymuje tymczasem, że nie jest tak źle. Przeciwnie, jest dobrze, a pretensje Chwedeńczuka są bezzasadne, bo podpierane błędnymi analizami znaczeniowymi, na przykład, owych wokółaborcyjnych wyrażen.

Katolickie uzasadnienie zakazu aborcji korzysta między innymi (logicznie i propagandowo) ze zdania, że zygota to dziecko. Na takie zdanie nie pozwala słownik języka polskiego. A nie pozwala na nie, bo ma swoje racje, brane w szczególności z łatwo dostępnego zasobu wiedzy przyrodniczej. Obronić takiego sposobu mówienia nie da się – jak to robi Tałasiewicz – wskazując na peryferyjne, w tym kontekście, sposoby użycia wyrażenia „dziecko” (gdy jest ono predykatem dwuargumentowym lub gdy jest słowem metaforycznym). W samym centrum mamy natomiast dziecko, które wszyscy dobrze znamy, osobnika już urodzonego, i do takiego dziecka, by tak rzec, pije Nowina-Konopczyna.

„Wartości chrześcijańskie” – twierdzą – nie zostały zdefiniowane przez nikogo z użytkowników tego wyrażenia. Tałasiewicz ma na to radę. Jest nią humorystyczna definicja, że „są to wartości uznawane przez chrześcijan”. Humorystyczna, bo wsparta na humorystycznej zasadzie, że „skoro możemy się porozumieć co do tych dwóch rzeczy [*scil.* co do znaczenia składników wyrażenia »wartości chrześcijańskie«], możemy także – co do ich złożenia”. Spróbujmy, by przetestować tę zasadę, porozumieć się co do złożen: „rekurencyjny gejzer”, „powierzchnia prostej” czy „melodia chrześcijańska”. Porozumieniu co do tego ostatniego stoi na przeszkodzie choćby to, o czym mówi przychylny chrześcijaństwu racjonalista: „A czy chrześcijaństwo jest pojęciem jednolitym? Czyż nie istnieje wiele trudnych do pogodzenia interpretacji tego pojęcia?”¹

Pomocna dłoń, którą podaje Tałasiewicz biskupom polskim, jest więc bezsilna. „Wartości chrześcijańskie”, osadzone przez nich w „regulacjach prawnych”, to wyrażenie nie zdefiniowane. I to wystarcza, by przeciwstawiać

¹ Zob. K.R. Popper *W poszukiwaniu lepszego świata*, Książka i Wiedza, Warszawa 1997, s. 246.

się użyciu tego wyrażenia w dokumencie prawa państwowego. Nie trzeba sięgać aż do zasady, którą obaj z Tałasiewiczem podzielamy – że „państwo nie powinno mieć nic wspólnego z żadną religią”.

Ale, co ciekawsze, gdybyśmy nawet odrzucili tę zasadę, ciągle byłby powód, by bronić dostępu „wartościom chrześcijańskim” do aktów prawa. Ten powód mianowicie, że wyrażenie to jest nie tylko niezdefiniowane, lecz też niedefiniowalne. Jest to bowiem wyrażenie języka religii, a wyrażenia języków religii są pozbawione znaczenia poznawczego. Mają natomiast znaczenie obrazowe. Wyrażeń o znaczeniu obrazowym nie sposób definiować; można natomiast eksponować (słownie, a lepiej środkami pozasłownymi) obrazy, które ludzie przyporządkowują owym wyrażeniom.

Wszystko to mówię w mojej książce, choć nie wprost. Gdyby Tałasiewicz to dostrzegł i się temu przeciwstawił, napisałby polemikę zasadniczą, nie zaś marginesową – marginesową nie tylko społecznie, lecz też filozoficznie. Ale nie dostrzega tego, bo niczym Tuwimowscy mieszczanie widzi wszystko oddzielnie: „że Bóg [...] że Rosja [...] radio, sport, wojna”.

Zobaczmy jeszcze, jak sobie radzi Tałasiewicz na polu interpretacji. Polemizowanie to czynność intencjonalna – z kimś polemizujemy. Tego kogoś trzeba jakoś ująć, czyli go zinterpretować. Tałasiewicz taką ma sztukę interpretacji, że co krok polemizuje nie z Chwedeńczukiem, lecz z widmem Chwedeńczuka. Weźmy dwa przykłady.

Tałasiewicz nie wie, dlaczego miałby przystać na mój opis filarów demokracji. Otóż, miałby nań przystać, bo te filary widać. Można też ich istnienie wywnioskować, jeśli zastanowić się nad cechami niezbędnymi i wystarczającymi ludziom – podatnikom, wyborcom, wytwórcom i nabywcom dóbr itd. – do kooperacji z innymi w demokratycznym społeczeństwie. Wszystko to mówię (lapidarnie, co prawda) w eseju o religii i demokracji. Gdyby się tego mój polemista doczytał, mógłby się ze mną spierać; musiałby wówczas pokazać, że nie widać tego, co widzę, i nie da się tak wnioskować, jak wnioskuję. Tymczasem dostajemy gołosłowne zapewnienie: „Nie podano [...] dla nich uzasadnienia” [scil. uzasadnienia owych założeń demokracji].

Nigdzie nie twierdzę, że religia musi zagrażać demokracji. Może nie zagrażać, jeśli jest od polityki starannie oddzielona. Musi natomiast zagrażać (rzecz jasna, z przyrodniczą, a nie aprioryczną koniecznością), jeśli jest z polityką zmieszana, to znaczy, jeśli obywatel ma, jako obywatel, dwie lojalności: obywatelską i religijną. Skąd ten antagonizm? Stąd, że religia wyklucza samorządność (człowiekiem religijnym rządzi zaświaty), a demokracja wymaga samorządności. Tak brzmi łatwe uogólnienie moich uwag o religii i demokracji. Gdyby Tałasiewicz na nie wpadł, uznałby z pewnością, że wzruszająca uwaga o buddyźmie nie wystarczy za kontrargument, a sławetne powiedzenie o królestwie moim, co jest nie z tego świata, nie uchyla groźby antagonizmu, lecz – przeciwnie – trafnie wskazuje jego źródło.

Tałasiewicz uznaje moje uwagi o religii i demokracji za „dyskredytowanie religii w ogóle”. Wkrótce powiem, dlaczego tak robi. Teraz powiem, że robi nierozważnie. Nierozważne jest bowiem ocenianie nie rozpoznanego przedmiotu. Mój esej o religii i demokracji to próba teorii zależności między tymi dwiema instytucjami życia publicznego, a dyskredytowanie któregoś członu tej zależności, dyskredytowanie ich obu czy niedyskredytowanie żadnego to zgoła inna działalność. Tałasiewicz nie ma żadnych racji, by mi tę działalność przypisywać. Żeby mi ją przypisać, musiałby wykonać nie lada robotę – musiałby dowieść mianowicie, że z opisów wynikają normy. Nie znajduję tymczasem w jego tekście choćby śladów takiego dowodu.

Uwagi Tałasiewicza dyskredytujące moje główne eseje (o relatywizmie moralnym i o zbędności wierzeń) mają to do siebie, że ich nie dotyczą. Śpieszę jednak z pomocą – moja dezaprobata dla walczącego z widmem relatywizmu papieża wypływa z mojej moralności. W niej zaś jest norma: „Brać rzeczy takimi, jakimi są”. Tę z kolei wyprowadzam z mojej wiedzy o człowieku w r a z z normami, które mnie zobowiązują do dbania o płynność społecznego dialogu i do unikania wojen, na czele z wojnami religijnymi. A okoliczność, że moralności tej towarzyszy w moim umyśle pewna metaetyka – relatywizm, mianowicie – nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli zaś chodzi o wierzenia, śpieszę z zapewnieniem – nikomu niczego nie zabraniam; niech sobie ludzie wierzą, w co chcą, łącznie z wierzeniem, że trzeba w coś wierzyć. Twierdzę natomiast – i twierdzenie to uzasadniam – że wiara jako nadzór i sąsiedztwo wiedzy nie sprzyja poznawaniu świata. Twierdzenia tego nie osłabiają ani na jotę niechlubne przytoczenia z Woleńskiego i Życkińskiego, którymi posiłkuje się mój polemista; nie szkodzi mu też „natiychmiast pojawiające się pytanie” Tałasiewicza pod adresem klasycznego (platońsko-kartezjańsko-ayerowskiego) pojęcia wiedzy, pytanie możliwe dopiero wtedy, gdy się zignoruje rozróżnienie między prawdziwością zdania a przekonaniem, że jest ono prawdziwe².

Tałasiewicz stosuje również naturalne w polemikach em o t y w n e środki rażenia przeciwnika – ironizuje, oburza się itd. „Wara od książek! Ręce precz od literatury!” – woła. Mówiąc słowami filozofa, „uważam książkę za najważniejsze dobro kulturalne Europy, a być może ludzkości”. Różne inne rzeczy też uważam za ważne dobra kulturalne. Nie widzę natomiast powodu, dlaczego miałbym nie robić z nimi, gdy są moje, tego, co mi się podoba. W szczególności, dlaczego miałbym ich nie palić. Jeśliby chodziło o ideologiczną obudowę palenia książek, okrzykiem Tałasiewicza można przeciwstawić kontrokrzyki: „Wara od próżnego czernienia papieru! Ręce precz od biosfery!” Jeśliby zaś

² Przystwojeniu sobie tego rozróżnienia może służyć np. lektura artykułu Rudolfa Carnapa *Truth and Confirmation*, w: H. Feigl, W. Sellars [eds.], *Readings in Philosophical Analysis*, New York 1949, ss. 119–127.

chodziło o wskazanie źródła stereotypu, który narzuca ludziom oburzenie na myśl o paleniu książek, jest nim coś, co za Karolem Marksem nazywam fetyszymem towarowym.

Powtórnie, o pominięciach. Działającego poznaje się po działaniach i po zaniechaniach. O eseju, w którym konfrontuję katolicką i stoicką filozofię śmierci, a więc podejmuję jedną z najważniejszych kwestii światopoglądowych i życiowych, które są na świecie, mówi Tałasiewicz, że – tak jak inne pomijane przez niego eseje – jest „strukturalnie do przyjęcia” (co to znaczy?), a nieco dalej, że owego porównania dokonuję „w oparciu o arbitralne, z punktu widzenia czytelnika, kryteria” (co to znaczy?).

Niezależnie jednak od tego, co znaczą te zagadkowe zwroty, widać, że jest do przyjęcia arbitralne rozprawianie o takich poważnych sprawach. Ten wynik wydaje mi się nadto liberalny!

Względy, którymi usprawiedliwia Tałasiewicz pomijanie innych, drogich mojemu sercu esejów, wskazują w jednym kierunku – wskazują, że ich nie rozumiał. Nie rozumiał ich na głębszym, hermeneutycznym poziomie, który leży pod rozumieniem kolejnych zdań tekstu, a polega na ujmowaniu ogólnego sensu, intencji, założeń, następstw tego, co ludzie piszą czy mówią.

Polemikę Tałasiewicza wieńczą oceny ogólne – że książka Chwedeńczuka „wydaje się przedsięwzięciem chybionym”, że ma luki w argumentacji, że „jest po prostu narzędziem propagandy” itd.

Kto wie, może tak jest. Żeby to jednak pokazać, Tałasiewicz musi napisać zupełnie inną recenzję.

Na koniec *diagnoza*. Recenzja Tałasiewicza to dziwny przedmiot. Dziwny, bo narzędzia i sprawności, którymi posłużył się Tałasiewicz, by ją napisać, do siebie nie przystają. Mamy oto w jednym tekście poprawne i elementarnie niepoprawne argumentacje, trafne spostrzeżenia i niewidzenie rzeczy jawnych, interpretacje właściwe i chybione. A przede wszystkim mamy znaczne niesprawności: niezdolność do przejścia z poziomu fragmentów treści poszczególnych esejów na poziom sieci, którą jest moja książka (nb. przejście to starałem się ułatwić czytelnikowi, odsyłając w różnych miejscach do innych miejsc tekstu); niezdolność do zejścia niżej, ku filozoficznym założeniom mojego antykatolicyzmu; niezdolność do wejścia wyżej, ku temu, czego katolicyzm jest tylko przypadkiem szczególnym. Mamy też wymowne pominięcia: przede wszystkim pominięcie kwestii naczelnej, kwestii intelektualnego statusu i politycznej roli katolicyzmu, i bagatelizujące kwitowanie esejów ważnych w całej konstrukcji. Mamy wreszcie mój portret, szkicowy, ale wyraźny. Jestem mianowicie napastliwym, dyskredytującym religię propagandystą, osobnikiem o władniętym antykatolicką obsesją, widzącym wszystko – jak to z obsesjonatami bywa – w jednej barwie i racjonalizującym za wszelką cenę tę obsesję. (Portret ten nie zaskakuje mnie, zżyłem się z nim, odkąd pisuję o katolicyzmie.)

Nie mam danych i powodów, by zaglądać w duszę Tałasiewiczowi i szukać tam psychogenezy jego recenzji. Mam natomiast dane i powody, by wskazać pewną osobliwość zbiorowego życia mentalnego, a zarazem pewien rys zachowań społecznych współczesnych Polaków. Współcześni Polacy manifestują mianowicie, szczerze lub koniunkturalnie, stany swoiste dla obrażonego t a b u. Katolicyzm jest w Polsce t a b u. Tradycja życia umysłowego w Polsce nie zna, nieliczne wyjątki pominąwszy, badawczego, niereligijnego i nieideologicznego podejścia do katolicyzmu. Nie istnieje w Polsce, śladowe okazy pominąwszy, laicka filozofia religii, która badałaby chłodno i bez lękowych zahamowań semantyczną zawartość i logiczną wartość katolickiego języka. Nie istnieje też filozofia polityki, która rozważałaby naturę politycznych aspiracji Kościoła katolickiego i się do nich ustosunkowywała. Nie ma wiarygodnej socjologii religii, która opisywałaby społeczne funkcje i dysfunkcje katolicyzmu w Polsce. Nie ma bezstronnej historiografii, która opowiadałaby, bez mitologicznych deformacji, o katolicyzmie w dziejach Polski. Nie ma tego wszystkiego. Jest tabu.

Dopóki będzie tabu, o katolicyzmie będziemy dyskutować sposobem Tałasiewicza. Gdy wspólnymi siłami je obezwładnimy, Tałasiewicz rozwinie swoje obiecujące możliwości umysłowe.

Bohdan Chwedeńczuk